

Krytyka czystego intelektu

Marek KORDOS, Warszawa

*To Szatan mówi: na nic wszystko,
Szatan mówi: z góry płąć,
Szatan krzepi twe lenistwo
I Szatan każe z boku stać.*

*To Szatan mówi: zło jest blisko,
Szatan mówi: brak ci sił,
Walczyć z grzechem to bezmyślność,
To Szatan każe dbać o styl,
To Szatan mówi: świat jest nisko.*

Pieśń o Świętej Weronice

Właściwie na powyższym cytacie mogłaby się skończyć moja odpowiedź na list od Profesora Grabińskiego, który już w poprzednim numerze *M-S-N* serwował nam swą zółć. Wydaje się jednak, że gdy tego rodzaju agresja przeciwko własnemu środowisku jest głoszona przez wybitnego uczonego, nie wolno sprawy uznać za jednostkową, ani błahą. Stąd moja dłuższa wypowiedź.

Wydaje się zresztą, że do *M-S-N* powinny powrócić debaty nad kulturowym i filozoficznym aspektem uprawiania naszego podstawowego zawodu – matematyki.

Hardware i software

Każdy widzi, że tytuł mojej wypowiedzi jest parafrazą tytułu wielkiego dzieła Immanuela Kanta. Dzieło to traktuje matematykę jako jedną z najbardziej wyróżnionych dziedzin nauki, bo odbiera jej walor bycia częścią poznania (czyli wiedzą *a posteriori*), uważając ją za coś, co nieświadomie przynosimy ze sobą na świat (wiedza *a priori*), a potem po prostu sobie ją – jak platońskie idee – przypominamy. Wynikło z tego, jak wiadomo, wiele komplikacji, ale nie o tym chciałem pisać.

Proponuję zastanowić się nad różnicą między słowem *rozum*, figurującym w tytule dzieła Kanta, a słowem *intelekt*. Chodzi o rozróżnienie takie, jak między słowem *uczony*, a słowem *naukowiec* – wielu używa tych słów wymiennie, choć nie powinno. Naukowiec to człowiek, który pracuje nad zagadnieniami jakoś tam zakwalifikowanymi do kategorii „nauka”. Podczas gdy uczony, to człowiek dysponujący godnym szacunku zasobem wiedzy i umiejętności w tym zakresie. Co więcej – oczekuje się od uczonego, że będzie tę wiedzę i te umiejętności pomnażał. A więc z jego cechami, pozwalającymi zakwalifikować go do kategorii „uczony”, powszechnie wiąże się także określone oczekiwania, wręcz moralne obowiązki.

Można by, używając slangu charakterystycznego dla będącej aktualnie w największym uderzeniu sprawności cywilizacyjnej – informatyki, powiedzieć, że naukowiec to pewien hardware, który sensowny społecznie staje się dopiero po wyposażeniu go w odpowiedni software, czyniący z niego uczonego. Co więcej, można by nawet kwestionować zasadność funkcjonowania naukowca bez tego software'u.

Porównanie to jeszcze lepiej pasuje do wyspecyfikowania pojęć „intelekt” i „rozum”. Intelekt to hardware'owa zdolność manipulowania wprowadzonymi do niego wielkościami i relacjami. A rozumem staje się dopiero, gdy wyposażymy go w software, który spowoduje, iż jego zdolności operacyjne zaczną w określony sposób pracować, realizować proponowane programy.

I nasuwa się nieodparcie pytanie, czy – gdy intelekt staje się rozumem – pociąga to za sobą jakieś, nieoczekiwane u wprowadzanego software'u, dodatkowe konsekwencje. Na przykład, czy stający się rozumem intelekt musi odczuwać jakieś potrzeby stworzenia sobie w miarę spójnego obrazu całego odbieranego zmysłowo świata, czy musi odbierać ze świata coś więcej, niż tylko jego zmysłowy obraz, czy wreszcie musi odczuwać wobec tego świata jakieś zobowiązania moralne? I, choć problem ten zdecydowanie przekracza moje siły, spróbujmy poszukać odpowiedzi.

Pierwsza wątpliwość

Przyjmując, wbrew aktualnie panującym w polskiej edukacji tendencjom, że to, co uczeni paleobiologowie mówią o pochodzeniu człowieka, odpowiada prawdzie, za próg człowieczeństwa należy przyjąć tzw. przełom neolityczny. To moment, gdy stada naszych przodków stały się plemionami, gdy pojawiły się skalne wyobrażenia współdziałających jednostek ludzkich (np. podczas polowania – perspektywa sylwetkowa), gdy powstała mowa, a wraz z nią zaczęło się kształtować pojęcie liczby i odpowiadających mu (dwóch! – porządkowego i głównego) liczebników, gdy w rytmach ornamentu wstęgowego pojawiło się wszystkich siedem jednowymiarowych grup krystalograficznych – słowem, gdy zaczęliśmy być rozumni.

Słowo *rozumni* jest tu na miejscu. Nie ma jakichkolwiek przesłanek, które wskazywać by mogły na oddzielenie sprawności intelektualnej od jej wszechstronnego zaangażowania w sprawy społeczności, w której funkcjonowała. Nie przypadkiem badacze zamierzczej przeszłości mają niebagatelny problem, jak nazywać ówczesne jednostki obdarzone rozumem w nadprzeciętnym w ich społeczności stopniu. Namnożywszy sobie w czasach nowszych rozmaitych różnicujących pojęć, nie wiemy jak właściwie nazwać mędrców tamtej epoki – mówimy więc na nich *szamani*, *kapłani*, *uczni*, *urzędnicy* (prześmieszny polski termin *wójt* dla staroegipskiego brygadzysty). Wszystkie te terminy są niedostosowane do opisywanych obiektów, ale wszystkie świadczą o tym, że w pełni zdajemy sobie sprawę, iż ludzie ci ponosili pełną odpowiedzialność za funkcjonowanie społeczności, w której żyli. I mieli poczucie tej odpowiedzialności. Odpowiedzialności znacznie głębszej, niż tylko przed – o ileż prymitywniejszymi od nich – wodzami, faraonami, królami.

I gdy chcemy się doszukać jakiejś próby odseparowania etycznych powinności rozumu od sprawności intelektualnej prowadzącej jedynie do poznania, sięgnąć musimy do względnie bliskich nam czasów – VI wieku. Wtedy to, mimo – zdawałoby się oczywistego – odseparowania różnych kultur, równocześnie na całym świecie, zadaliśmy sobie pytanie, co nakazuje nam rozum, który zgodnie uznano za walor, jakim jedynie ludzkość została obdarzona. Odpowiedzieliśmy na to chórem, choć każdy w nim śpiewał co innego. W Chinach Konfucjusz twierdził, że rozum nakazuje nam stworzenie porządku społecznego i podporządkowanie się mu, Lao-tsy wskazał na rozum, jako na źródło dążeń i motor do ich realizacji. W Indochinach Budda w rozumie widział uzasadnienie umiejętności rezygnacji z mogących wyrządzić szkodę innym pożądań, a w Indiach Dżina rozum czynił powodem uznania życia za najważniejszą rzecz na świecie. W Persji Zoroaster za zasługę rozumu uznał odróżnienie dobra od zła. Problem zaś gnębiący profesora Grabińskiego stworzyła społeczność europejska, dokładniej dorycka: okazało się, że nasz głos w chórze, przemawiający ustami Pitagorasa, najważniejszą cechą rozumu ogłosił poznanie. Pitagoras stwierdził, że świat jest tak bogaty w sprzeczności, iż musi istnieć harmonia, by za jej sprawą świat mógł dalej istnieć – rozumowi dziękował za możliwość jej dostrzeżenia, a obciążał go obowiązkiem owej harmonii badania. To ufundowało całą filozofię grecką.

Było to stanowisko tak zaskakujące, że sami pitagorejczycy, związek ideowy zawiązany wokół doktryny Pitagorasa, widzieli w tym jakieś niedostatki. Łatali je pośpiesznie przypadkowo dobranymi normami – aż dziw bierze, gdy obok zrozumiałego zakazu znęcania się nad zwierzętami znajdujemy raczej absurdalny zakaz jedzenia fasoli czy łamania chleba. Nielatwo było uznać imperatyw poznania za całość obowiązujących norm.

O ile, być może, istnieli pitagorejscy fundamentaliści wierzący w czysto poznawcze posłannictwo intelektu, to polityczni władcy świata dać temu wiary nie chcieli – czy to despota władający Eleą, który kazał zatłuc Zenona w miedzianym kotle, czy humanitarna demokracja ateńska, która litościwie nakazała Sokratesowi wypicie trucizny, jednako wierzyli, że rozum tych nieszczęśników ich zamysłom i koncepcjom ładu społecznego zagraża.

Znacznie mocniejszym argumentem wskazującym na nieskuteczność oddzielania poznania od odpowiedzialności jest fakt kształtowania tej rzeczywistości przez wytwory intelektu. I to niezwykle wielostronnie. Stosunki małych liczb naturalnych stworzyły europejską wrażliwość muzyczną. Pozornie wydumana złota proporcja stała się kanonem piękna i to tak silnie, że stworzone w oparciu o nią posągi Praksytelesa czy Fidiasza do dziś dyktują normy urody ludzkiego ciała. Znacznie głębsze jest oddziaływanie specyficznej tylko dla doryckiego kręgu doktryny geometrii, zwanej dziś euklidesową – przecież to ona (a raczej jej niezmienniczość ze względu na podobieństwa, obca każdej innej geometrii) pozwoliła na sporządzanie rysunków w skali, a więc na wykonywanie czytelnych nawet dla analfabetów planów i rysunków technicznych, które stworzyły swoistą rewolucję informatyczną i w efekcie pozwoliły zacofanej i biednej Europie postawić w końcu swój but na głowach „pozostalej” ludzkości.

Eugen Wigner jest zafascynowany *zdmiewającą stosowalnością matematyki*. Powinien jednak raczej – jak Newton – oddawać cześć *olbrzymom, na których barkach stoimy*, tym, którzy stworzyli liczby rzeczywiste, Teajtetosowi i Eudoksosowi. To oni bowiem (a nie anonimowa matematyka) odkryli, że można wielkości rozmaitych rodzajów: rozciągłości w czasie i przestrzeni, wagi, objętości i co by kto jeszcze zechciał, opisywać jednymi i tymi samymi liczbami, co stwarza możliwość wiązania tych różnorodnych wielkości w precyzyjnie definiowane związki, wzbogaca język badacza tak, iż mniemać by można, że staje się on bogatszy nawet od samej rzeczywistości. Czy to jest konstrukcja intelektualna, czy raczej zaangażowanie w jak najbardziej realne, chciałoby się powiedzieć – przyziemne, czyli ludzkie problemy?

Bezpośrednio obliguje mędrców, by na powrót wzięli odpowiedzialność za losy społeczności, Platon, co najlepiej widać w *Państwie*. To oni mają dzierżyć ster nawy społecznej, jeśli chcielibyśmy, aby owa nawa żeglowała pomyślnie. Nie od rzeczy jest wskazać i tu na rozterki profesora Grabińskiego: Platon wierzy w świat idei, odrębny od realnego, marnego świata. Wysyła więc poza świat realny mędrców po naukę, a chce wierzyć, iż nauka ta pozwoli im na społecznie korzystne kierowanie państwem. Czysto intelektualne odtwarzanie świata *z cieni igrających na ścianie jaskini* ma wytworzyć w obserwatorach odpowiedzialność za ludzi, za cały świat? Pitagorejskie poszukiwanie harmonii ma stworzyć konfucjańską społeczność opartą o taoistyczne dążenia, pełną gotowości do buddyjskiej rezygnacji, szanującej życie jak dziniści i z mazdaistyczną precyzją oddzielającą dobro od zła? O sancta simplicitas!

Jak widać nawet tam, gdzie ktoś upiera się przy czysto intelektualnej działalności poznawczej, pomysł ten kompromituje się tak społecznie, jak i logicznie. Powstaje więc pytanie, czemu w ogóle „w obiegu” jest doktryna nauki wyższej ponad *wszystkie nasze ziemskie sprawy*.

Doktryny obronne

Koniec rozumnej Starożytności symbolizuje postać najefektywniejszego bodaj uczonego wszechczasów – Archimedesza. Postaci tej towarzyszy nieprzebrana mnogość anegdot, z których niektóre są bałamutne (jak np. *daj mi punkt oparcia, a poruszę Ziemię*), inne pornograficzne (jak np. galop nago przez miasto z racji odkrycia prawa wyporu), a jeszcze inne w interesującej nas sprawie przekazują informacje sprzeczne. Tak więc z jednej strony mitotwórca pokazuje nam Archimedesza konstruującego potężne katapulty (których naciąg romantycznie spleciony jest z włosów Syrakuzanek), z drugiej strony widzimy go, gdy podczas rzezi i plądrowania miasta spokojnie (zapewne tak postąpiłby profesor Grabiński) rysuje swoje okręgi na piasku i gani rzymskiego żołdaka depczącego po nich. Jak widać dyskusja, do czego zobowiązuje rozum, obecna jest nawet w hagiografii Archimedesza.

Czasy rzymskie to okres, gdy wszelkie zajmowanie się nauką, a przynajmniej tym, co w krajach anglosaskich nazywa się *science*, jest zajęciem bardzo mało ważnym i – choć przynosi nam ważne ustalenia, jak np. ptolemejski porządek

nieba – podstawowym sposobem kontaktu z nauką jest udanie się na targ w celu nabycia odpowiedniego Greka.

A gdy imperium pada i gdy w Europie zaczyna powstawać nowy porządek, ludzie rozumni znajdują się w sytuacji analogicznej, jak po przełomie neolitycznym. Teraz są to właściwie wyłącznie ludzie kościoła (czy to rzymskiego, czy to bizantyńskiego), ale pełnią role zarówno kapłanów, jak uczonych, są urzędnikami, także leczą, krzewią lepsze sposoby gospodarowania, strzegą też dorobku intelektualnego, co zostało pięknie odmalowane np. w wyrazistym *Imieniu róży* Umberto Eco. Książka ta pokazuje jednak i drugi problem, który wkrótce stanie się pierwszoplanowym.

Problem, jak chronić naukę i jej wyznawców przed barbarzyństwem władców tego świata, odkąd pamięć sięga zdaje się nierozwiązywalny. Co prawda, gdy budowany dla wojska perskiego most został zniszczony przez morską burzę, dowódca rozkazał wychłostać morze, ale nie zapomniał o ścięciu projektujących go ówczesnych inżynierów. Święty Cyryl Aleksandryjski wzywał swoje owieczki do położenia kresu bezbożnemu zainteresowaniu nauką Hypatii tak długo, aż została ona ukamienowana. A gdy rozpoczęła się walka reformacji z kontrreformacją problem stał się wszechobecny i codzienny.

Gdy stopy Hiszpanii, Włoch, a zwłaszcza Holandii i Anglii zapewniały glorię wiekuiście tysiącom ludzi, nienajmniejszą ich część stanowili ludzie nauki. Niektóre zawody, jak na przykład medycyna, niosły ze sobą nieledwie gwarancję okrutnej śmierci dla poznających tajniki ludzkiego ciała. Nic przeto dziwnego, że pitagoreizm odrodził się, tym razem jako doktryna obronna. Panteizm, bo takie przybrał imię, utożsamiał Boga, czyli Harmonię, z całym Wszechświatem, *gdziekolwiek się obrócim, wszędy pełno Ciebie*. Wydawało się więc, że panteiści znaleźli tarczę chroniącą choćby przed wojnami religijnymi. Jednak rychło i to okazało się błędem i szukający azylu stali się wrogami fundamentalistów każdego z walczących obozów. Co więcej zażądano od nich aktywnego udziału w walce, gdyż – jak to pięknie wyraził Jan Zamoyski – *takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie*, a więc katolickie, gdy chowanie będzie katolickie, protestanckie, gdy protestanckie, faszystowskie, gdy faszystowskie itd. – idea nie wygasła do dziś.

Dla uchronienia się przed tak rozumianym zaangażowaniem ludzie rozumni uwierzyli w swoją wręcz gatunkową odmienność i zaczęli z jednej strony tworzyć organizacje mędrców – tak powstały akademie – z drugiej strony poszukali wyróżniającej ich filozofii. Tak powstał kartezjański racjonalizm.

Uczynienie z rozumu najwyższej instancji, zachwyty nad głębookością implikacji *myślę więc jestem*, opatrzone były obronnym założeniem minimalizacji założeń i deklaracją, że *w obiektach naszych badań należy znajdować nie to, co o nich myślą inni, ani nie to, co sami im przypisujemy, lecz to, co jasno i w sposób oczywisty możemy dostrzec, albo precyzyjnie wydedukować, ponieważ wiedza nie może być osiągnięta inaczej*.

Oczywista czystość tych deklaracji jest dziś jasna nawet dla polityków. Każdy, jak dotąd, prezydent Francji każde noworoczne orędzie do narodu opatrywał cytatami z *Rozprawy o metodzie* (ciekawe, czy Sarkozy nawiąże do tej tradycji).

Racjonalizm nie okazał się jednak dla uczonych, a w szczególności dla uprawiających nauki ścisłe, dostateczną tarczą. Na początku XIX wieku schronili się za tarczę, która, co prawda, była o wiele bardziej nieprzenikliwa niż racjonalizm, ale też opierała się niebezpiecznie wręcz o śmieszność. Chodzi o determinizm, zapoczątkowany jawnie przez Laplace'a.

Inteligencja, która by w danym momencie znała wszystkie siły ożywające naturę oraz wzajemne położenia bytów tworzących ją i przy tym byłaby dostatecznie wielka, by poddać te dane analizie, mogłaby w jednym wzorze objąć ruch największych ciał Wszechświata i najmniejszych atomów: nic nie byłoby dla niej niepewne i miałyby przed oczyma zarówno przyszłość, jak przeszłość.

Założenie istnienia teoretycznie możliwej wiedzy pewnej jest w sposób oczywisty sprzeczne z takimi ludzkimi przekonaniemami, jak wolna wola (a przecież trudno nam byłoby się tego założenia pozbyć): gdyby obliczono, co zrobię za chwilę, i wiedziałbym o tym, mógłbym specjalnie zrobić coś innego. Nic to – mówiły całe pokolenia uczonych matematyków, fizyków i innych przyrodników – to założenie przynajmniej gwarantuje niemożność ingerencji w naukę z zewnątrz. I nie szkodzi, że nawet w obrębie tego fragmentu rzeczywistości, która jest opisywalna równaniami różniczkowymi tej doskonałości osiągnąć się nie da – niech ta tarcza nas chroni.

Ale przecież na tym się nie skończyło. Dziś mamy bardziej wyrafinowane teorie, w rodzaju mechaniki kwantowej czy teorii deterministycznego chaosu. Bardziej rozchamowani z nas, jak np. Roger Penrose piszą nawet dzieła będące kolejną wersją leibnizowskiej Ogólnej Teorii Wszystkiego. Bronimy się wszelkimi sposobami przed ingerencjami w naukę. Profesor Grabiński jest jednym z niewielu, którzy sądzą, że to niepotrzebne. Co więcej, twierdzi, że odruchy obronne po prostu ludziom na pewnym poziomie nie przystoją.

A ludzie?

Ludzie nauki nie różnią się niczym od ludzi niewykształconych w tym względzie, że co chwila im się zdaje, iż zdarzy się coś takiego i coś się poprawi (a jak – mówią bardziej obcy – nic się poprawić nie może i nie powinno). W szczególności od czasu do czasu zaczynają wierzyć, że ten czy inny władca (ewentualnie jakaś ideologia) zapewni warunki do tego, by ich ukochana nauka rozwijała się. I dziwnie kojarzą to z ogólnie społeczną szczęśliwością. Szczególnie dobrze było to widoczne w XVIII wieku, gdy panowali tak zwani oświeceni monarchowie absolutni (np. Ludwik XIV, Piotr I, Fryderyk II, Katarzyna II). Luminarze nauki wierzyli w ich światłe zamierzenia i angażowali się w wielostronną współpracę z nimi (np. Euler, Lagrange). Ci którzy żyli dłużej widzieli jak nieoświeceni, ale jeszcze bardziej absolutni monarchowie zastępują tych oświeconych, więc garnęli się do rewolucji 1789 roku, a potem organizowali naukę i szkolnictwo powstałej Republiki Francuskiej, potem się rozczarowywali, ale szarpali się do końca. Tak np. Gaspard Monge wraz z Claudem Bertholetem stworzyli militarną i przemysłową potęgę Francji i to w najbardziej niesprzyjających warunkach równoczesnej wojny i rewolucji, a potem oba te resorty przekazali w równie rozumne ręce Charlesa Dupina.

Choć byli i inni – wręcz przysłowiowa jest kariera Pierre'a Laplace'a, który potrafił bez żenady przechodzić od antymonarchistycznej opozycji, do królewskiego dworu, potem do ścinającej króla rewolucji, następnie do dyktatorskiego Napoleona, by stać się podporą burbońskiej restauracji. Jakoś dziwnie nie zjednywało mu to sympatii – nawet dziś super poprawny Dirk Struik pisze, że *zapewne łatwość zmiany przekonań ułatwiła mu uprawianie czysto matematycznej działalności niezależnie od zmian politycznych*. Może więc elastyczność jest tą uniwersalnie skuteczną tarczą?

Warto jednak zauważyć, że byli i inni. Dla jasności zwróćmy uwagę tylko na jedno zdarzenie i reakcję dwóch ważnych dla matematyki postaci, tym bardziej, że obiektywności dodaje tu fakt, iż zareagowali oni odwrotnie.

Po upadku Napoleona na tronie francuskim zasiadł Bourbon, brat Ludwika XVI, Ludwik XVIII. Restauracja monarchii w jego wydaniu przebiegała w miarę przyzwoicie. Równocześnie jednak jego kolejny brat, Karol, założył partię ultramonarchistyczną (tak po raz pierwszy pojawiła się nazwa *ultrasi*). Po śmierci Ludwika w 1824 roku na tron wstąpił (jako X tego imienia) Karol i się zaczęło. Rozpoczęły się procesy ludzi jakkolwiek związanych z rewolucją czy Napoleonem, rewindykacja majątków, nadzór nad prasą, ograniczenia praw wyborczych itd. Nie mogło to długo potrwać – w 1830 roku rewolucja zmiotła Karola, a w walce przeciw niemu zjednoczyły się siły ogromnej większości społeczeństwa, wsparte takimi nawet autorytetami jak generał La Fayette. Na tron wstąpił co prawda Bourbon, ale z linii bocznej, były jakobin, ale

teraz, mówiąc dzisiejszym językiem, liberal, czy też mówiąc językiem Aleksandra Dumasa *król bankierów*.

I oto najwybitniejszy wówczas matematyk Francji, Augustin Cauchy, odmawia przysięgi lojalności nowemu monarsze, uważając go za uzurpatora. Tym samym traci możliwość pracy na uczelniach francuskich i skazuje się na osiemnastoletnią tułaczkę po Europie – aż do następnej rewolucji.

I druga postać: Evariste Galois. On z kolei ma pretensję do La Fayette'a i innych przywódców rewolucji, że zamiast oczekiwanej wolności przynieśli liberalny kapitalizm. Więc działa w radykalnej opozycji, w wyniku czego władze bezpieczeństwa prowokują pojedynek, w którym Galois ginie.

Rozumiem, że profesor Grabiński nie widzi się w roli ani jednego, ani drugiego bohatera tych zdarzeń. Więcej: protestuje przeciw protestującym.

* * *

*Zapytano raz ptaka, co bujał gdzieś w chmurze,
czy jest z lewa, czy jest z prawa,
bo to bardzo ważna sprawa.
Odpowiedział: jestem w górze!*

Niewątpliwie dziś, w atmosferze opluwania wszystkiego, co wystaje ponad trywializm, powstaje pytanie: czy godność (na której wielu z nas zależy) to separacja?

Amerykanie swój maccarthyizm przeżyli pół wieku temu. Jeszcze dzisiaj powraca pamięć o tym i powstają rozrachunkowe dzieła literackie i filmowe. Czy jednak nie byłoby Amerykanom przyjemniej, gdyby mieli do wspomniania całkiem westernową historię o tym, jak bandę tych pseudopatriotów przegnali ze swego miasteczka?

Dlaczego sądzić, że wykładnię dziejów ludzkości mamy oddać w ręce jakiegoś agresywnego kretyna, a wykładnię sprawiedliwości musimy scedować na opętanego fundamentalistę? Skąd pomysł, profesorze Grabiński, że postępując przeciwnie ośmieszamy się? Czy lęk przed błędem i obawa pospolitości powinny nas sparaliżować?

A może te listy to miała być intelektualna prowokacja? Jeśli tak, to jednak nie odczuwam wstydu, że dałem się sprowokować.

* * *

Profesor Grabiński ma zwolenników w aktualnie dominującej sile przewodniej. Gdy w Warszawie 26 maja 2007 Polskie Radio urządziło Piknik Naukowy pod hasłem *Matematyka i my*, pragnąc mieć na nim przedstawicieli matematyków uniwersyteckich, sprowadziło ich z Krakowa – przecież nie można było dopuścić, by przedstawiciele skrytykowanego przez Profesora Grabińskiego uniwersytetu skalali swymi miazmatami dusze Bogu ducha winnych uczestników tej radosnej imprezy.